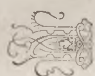
Nr. 43. We Lwowie dnia 22. października 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Zadania powieści polskiej.



Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).

(Ciąg dalszy).

W nadanym przez nich kierunku powieść idzie, rozwija się i kształtuje, stosując się do czytelników, których liczba z dniem niemal każdym pomnaża się, w miarę, jak ona zstępuje ze sfer społeczeństwa wyższych, ku coraz to niższym i niższym. We wskazówkach, przez ich utwory danych, zawiera się wszystko to, co romantycy i realiści do swoich utworów wcielają: zawiera się strona obyczajowa i zwyczajowa, wyrażająca się w typach; zawiera się psychologiczne motywowanie, przejawiające się w charakterach; zawiera się zestawienie przyczynowe społecznych i towarzyskich stosunków, których obraz daje intryga, oparta na warunkach życiowych, na dokumentach społecznych. Pisarze epoki poromantycznej za temi wskazówkami idą. Różnica pomiędzy nimi a romantykami nie daje się dostrzedz w czem innem, chyba w tem tylko, że tamci dają przewagę intrydze nad analizą psychiczną, ci zaś tej ostatniej nad intrygą, albo też, traktując intrygę od niechcenia, analizują w danym zakresie stosunki społeczno-towarzyskie — dają utworom swoim podkład naukowy. Niektórzy, celem zapewne zaakcentowania różnicy, probują wynalezienia nowej drogi; piszą powieści t. zw. dekadentystyczne, impresjonistyczne, symbolistyczne. Mnie się to wydaje trudem nadaremnym. Powieść, po przejściu przez fazy, o których mówiliśmy wyżej, zajęła, na dziś przynajmniej — przesądzanie o przyszłości byłoby zuchwałą śmiesznością — i na długo jeszcze odpowiednie i właściwe sobie stanowisko źwierciadła życiowego, stanowisko, stawiające ją na środkowem śród wytworów myśli i wyobraźni miejscu.

Owóż, miejsce oznaczyłem — miejsce środkowe: dla czego środkowe?

Zapytanie to zadaję z tej racji, ażeby — rzecz prosta — na nie odpowiedzieć, odpowiedzieć nie dla samej przyjemności odpowiadania samemu sobie, lecz celem wytłumaczenia powodu, dla którego powieść na tem, nie na innem miejscu śród myślowej i wyobraźniowej wytwórczości ludzkiej postawiłem.

Z powodu postawienia tego możnaby mi uczynić zarzut parcjalności — w rodzaju parcjalności adwokackiej — o jaką pomawiani są wszyscy wogóle, oddający się studjowaniu specjalnie pewnego umiłowanego przez nich przedmiotu, czy to naukowego, czyli też artystycznego. Czytałem niedawno rozprawę jednego z malarzy, znakomitego pisarza i ciętego krytyka — o malarstwie. Postawił on je tak wysoko i w takie dosadne zaopatrzył argumenty, że czytelnik mimowolnie unosi się, przejmuje się w malarstwo wiarą, wiarą tak silną, że uznać je gotów za oś, około której obraca się świat i wszystko, co na nim jest. Osiowania podobne przytrafiają się często w odniesieniu do sztuki dramatycznej, a nawet i do o całe niebo od niej niższej sztuki akrobatycznej, wynosząc niekiedy oddających się jej osobników na szczyty sławy i czci narodowej, jak to miało miejsce niedawno temu w Hiszpanji z okazji jednego z toreadorów, zabitego przez byka. A i nauka wpada w ten rodzaj przesady, gdy się w jakiej z jej gałęzi człek zacietrzewia. Przed nie tak dawnemi czasy zawzięcie i wymownie stawano w obronie ziemi, uważanej za środek wszechświata, i człowieka, poczytywanego za środek wszechstworzenia. I mnie przeto

posądzićby można o powodowanie się, w wyznaczeniu powieści miejsca środkowego, względami szczególnemi, a przynajmniej o chwalenie jej, jak cygan dzieci swoje zachwala, gdybym nie posiadał dowodów, które, mam nadzieję, usprawiedliwią mnie, gdy je jasno w krótkości wyłożyć zdołam.

Dowody, wysnuwające się same przez się z obrazowej definicji powieści: »zwierciadło życiowe«.

Życie we wszystkich jego przejawach społecznych, towarzyskich, politycznych, ekonomicznych, fizjologicznych, naukowych, artystycznych, we wszystkiem, czemu ono służy i co służy jemu, tłumaczymy słowem i wizerunkiem. Słowo zdaje sprawę z myśli i uczuć, urzeczywistnionych lub nieurzeczywistnionych, ujętych w formy odpowiednie a obejmujących cały cykl działalności człowieczej w kierunkach naukowym i estetycznym, które mają za przedmiot dobro, pożytek i piękno. Kierunki owe, celem opanowania ich i obrócenia na korzyść swoją, rozpatrujemy naukowo, za pomocą odpowiedniej pracy, którą krystalizujemy w rozprawach, studjach, książkach, w literaturze naukowej, dzielącej się na specjalne przedmioty, związane jedne z drugiemi powinowactwem. O tem powinowactwie dużo by się powiedzieć dało; zajmowali się niem mężowie, wysokie w nauce zajmujący stanowiska: Hoene Wroński, August Comte, Herbert Spencer, Max Müller, powinowactwo wykazali i usystematyzować je próbowali. Przedstawia się ono pod postacią łańcucha, w którym ogniwa wypływają jedno z drugiego tak, że z poprzedniego wynika następne, złączone z niem powinowactwem ściślejszem, aniżeli to, co po niem idzie. Powinowactwo zmniejsza się w ogniwach, oddalających się od tego, które za poprzednika względem innych służy, ale istnieje w każdem od początku do końca łańcucha. Wedle tego nauki ścisłe, fizyczne, opierające się na podstawie postrzegawczo-doświadczalnej, łączą się z metafizycznemi, posługującemi się hypotezami i rozumowaniem. W łańcuchu tym, na mocy powinowactwa, miejsce odpowiednie zajmują nauki historyczne, prawne, socjologiczne, filozoficzne. Wszystkie one, niosąc pożytek i zbogacając wiedzę, mają za cel służenie człowiekowi w życiu; nauki ścisłe prowadzą do wynalazków, ułatwiających dokonywanie podboju natury; nauki metafizyczne rozjaśniają, kształcą, zapładniają, zdobią umysł, zaspakajają potrzeby duchowe, karmiące się nie tylko tem, co pożyteczne i dobre, ale i tem, co piękne.

W tym punkcie nauka wchodzi w bezpośrednią z artyzmem styczność — wnika weń, iż tak się wyrażę. Czem dla nauk fizycznych są wynalazki, tem są dla nauk metafizycznych sztuki piękne, odnoszące się do wrodzonego w człowieku poczucia estetycznego, stanowiącego jeden z ważniejszych przedmiotów badań filozoficznych, jedno z trudniejszych zadań, które filozofja rozwiązać usiłuje.

O zadaniu tem, rozwiązywanem a nierozwiązanem, rozwodzić się nie mogę; obojętnem mi jest ono w dowodzeniu tego, co dowieść zamierzam; dotknąłem go tylko dla zaznaczenia łączności łańcuchowej pomiędzy nauką a sztuką i — zapytuję: gdzież w tym łańcuchu, którego ogniwa składają się z matematyki czystej i stosowanej, z mechaniki, astronomji, z fizyki, chemji, z nauk przyrodniczych, dzielących się na gałęzie, z bjologji, obejmującej anatomję porównawczą i fizjologję, z medycyny, z nauk jurydycznych, z historji, geografji, statystyki, etnografji, z ekonomji politycznej i socjologji, z filozofji, wkluczającej w siebie historję filozofji, logikę, psychologję i estetykę, z literatury, z nauki sztuk i rzemiósł, z muzyki, malarstwa, rzeźby, architektury — gdzież w tym łańcuchu, którego każde ogniwo i ogniwko służy człowiekowi w życiu i specjalną posiada literaturę, gdzież w tej owocami obciążonej girlandzie, poezją — śród sztuk pięknych sztuką najpiękniejszą — przetykanej i zdobionej, gdzie w niej dla powieści miejsce?.. Gdzie?...

Definicja da nam na to pytanie odpowiedź.

Zwierciadło życiowe odbija w sobie życie i wszystko, co mu służy, co je wyraża, i czemu służy ono.

Jedynem przeto chyba, najwłaściwszem i najodpowiedniejszem, bo czyniącem możliwem zwierciadlane odbijanie, dla powieści miejscem, jest — miejsce środkowe.

Dla uwyraźnienia tego należy sobie nieco wyobraźnią pomódz, uciekając się do stosowanego w obecnych czasach graficznego przedstawiania rzeczy.

Wystawmy sobie łańcuch, złożony z ogniw, zaczepionych jedno o drugie. Gdybyśmy go rozwinęli i na płaszczyźnie rozciągnęli, przedstawiłaby się linja prosta, długa. Na tej linji napróżno szukalibyśmy luki, w którąby się powieść wetknąć dała. Czy obok poezji, z którą ją kojarzą łaskawi? Poezja, przesuwająca się wszędzie, jako pozłota, jako zaprawa, jako gość pożądany a mile widziany, zajmuje miejsce poczestne, ba, naczelne w dziale sztuk pięknych, będąc sama pieśnią, i muzyką, i malowidłem, i rzeźbą. Powieści jednak, ze względu na różnorodny a nie zawsze artystyczny materjał, jakim się posługuje, sztuka zaprzeć się ma niejakie prawo. Takie same do zaparcia się jej prawo ma i nauka również ze względu na materjał nie zawsze naukowy. I nie byłoby dla niej miejsca, gdybyśmy się upierali łańcuch rozciągniony w prostej trzymać linji. Ale, jeżeli z linji prostej zrobimy kolistą i dwa przeciwne końce, z których na jednym umieściliśmy matematykę czystą, na drugim architekturę, sprowadzimy razem, w takim razie powieść da się nie w łańcuchu, nie na zewnątrz, lecz we środku tego koła ulokować — i miejsce

to będzie dla niej jakby umyślnie stworzone. Sztuki się jej wyrzekają i nauki wyrzekają — do pewnego jednak stopnia tylko. Wyrzec się jej bezwzględnie i bezwarunkowo nie mogą — prawa nie mają, wszystkie one bowiem razem i każda z osobna służą za źrodła, z których ona czerpie. Nauki, sztuki, rzemiosła wszystkie bez wyjątku, cała działalność ludzka na wszystkich drogach i polach, wszystko to jej daninę niesie — haracz płaci, i pomiędzy tem wszystkiem ona, we środku, wyciąga na wsze strony ramiona polipie, maca mackami, czepia się smoczkami i pożywę dla siebie ssie. Nie pszczółka to, latająca tam i sam i wysysająca słodycz z kwiatów. Powieść wysysa wprawdzie, ale nie zawsze słodycz i nie tylko z kwiatów — spożytkowuje ona i gorycz, jakoteż substancje trujące i niepachnące. Wszystko jest dla niej dobre, ze wszystkiego korzyść ciągnie, wszędzie sięga, — dlatego też dla niej i jej funkcjonowania literackiego nie do pszczoły, ale do polipa przyrównanie lepiej i właściwiej się nadaje, do polipa, umieszczonego we środku zogniwowanego z wytworów myśli i wyobraźni ludzkiej łańcucha, i polipie ramiona wyciągającego ku wszystkiemu, co piękne, wzniosłe, dobre, pożyteczne, jakoteż ku wszystkiemu, co brzydkie, nikczemne, złe, szkodliwe.

Powieść obraca się śród tego wszystkiego, burmistrzuje — powiedzielibyśmy — i rozchodzi się, rozlewa ogromnie.

Rozlew jej świadczy, że społeczeństwu jest potrzebną -- jak źwierciadło.

Mówię o społeczeństwie nowożytnem, naszem, o tem, śród którego żyjemy — o społeczeństwie ucywilizowanem, dawniejsze bowiem, te, co od wieków pokoleniami łono ziemi zalegają, bez źwierciadeł się obchodziły: przeglądały się w ruczajach, w kroplach rosy, w połysku na liściach, dla tego zapewne tak fantazji wybujać dały. A przecie i one nie obchodziły się bez powieści.

Krążyła ona śród nich w postaci cokolwiek odmiennej, w szacie utkanej z rojeń i domysłów, w przystrojeniu z kwiatów, ziół polnych, mgieł obłocznych lub zakuć rycerskich, z gwiazdą na czole, prawie — prawie taką, w jaką się genjusze ubierają, otoczoną mnóstwem promieni, mających się następnie zmienić w ramiona polipie. Zmiana dokonała się w czasach naszych, w naszych oczach. Powieść stanęła w roli i charakterze źwierciadła życiowego — źwierciadła, w którem i któż się nie przegląda?

Stał się fakt — obliczyć się z nim należy.

C. d. n.



Przyczynek do życiorysu Lenartowicza.

—⁂—



W niedawno wydanych poezjach lirnika mazowieckiego (Teofil Lenartowicz. Poezje. Wydanie pośmiertne. 2 tomy. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. Lwów 1895.) znajdujemy wiersz p. t. »Trzy kamienie (podsłuchane z opowiadania nieznajomego)«.

Autor wkłada tu w usta nieznajomemu opowieść o dwóch kamieniach, znajdujących się na grobach synka i żony naratora i trzecim, który mieć będzie sam nieznajomy na swoim grobie:

»a i ja, mój Boże!
Mieć będę kamień, cięższy niż tych dwoje,
Choć nie w sarkofag głowę mą położę,
Gdy śmierć zakończy długie niepokoje«.

Cały wiersz ten, jak się okazuje z zapisek poety, osnuty jest na tle osobistych jego stosunków. Mianowicie w r. 1864., 25. lipca zmarł w Antignano pod Livorno*) roczny synek Lenartowicza, Jaś. Na nagrobku dziecka umieścił poeta, oprócz napisu: »Jasiowi Lenartowiczowi † 25/7 w Antignano (1864) nieszczęśliwi rodzice«, co następuje:

Nikomu on za życia przykrości nie sprawił,
Pośmiał się do rodziców, z obrazkiem pobawił,
Poskarżył się po cichu, jak jagniątko małe
I odszedł, a za nim szczęście nasze poszło całe.

W papierach po Lenartowiczu, w których czterowiersz powyższy znaleźliśmy, znajduje się adnotacja, iż jest to napis na grobie synka i tenże sam wiersz po włosku. W jakim z tych języków figuruje napis na grobie dziecka, nie wiemy; sądzić należy, że w obydwóch.

O nagrobku tym właśnie mówi Lenartowicz w omawianej poezji temi słowy:

I ma swój głazik nad głowami w murze,
Na którym ojciec wypisał strapiony
Krótkiemi słowy żal niewysłowiony.

Myśl ojca często zapewne wracała do ukochanego jedynaka. W notatniku Lenartowicza znajdujemy oto, w szeregu innych zapisek, kopję następującego wiersza, a nad nią, na tejże stronicy, wyrysowane przez poetę, dwie główki dziecięcia:

Ledwie roczek przebywszy, rozstałeś się z nami.
Ty w niebie, a my w koło patrzymy ze łzami,
Czy cię nie zobaczymy? czy z jakiego kątka
Nie wyjrzy do nas liczko naszego dzieciątka,
Czy ojca nie zawoła, k'matce się nie skłoni,
Kwiatku niebieski, prędkoś usechł w naszej dłoni.

* * *

---

*) W tekście wiersza mylnie wydrukowano »Antoniano«.

W roku 1870 dnia 8 lipca zmarła w Miłosławiu (w Ks. Poznańskiem) u hr. Sewerynowstwa Mielżyńskich żona poety, Zofja z Szymanowskich. Czytamy też w wierszu »Trzy kamienie«:

W rodzinnym kraju, daleko za morzem,
Pod borem, kędy sosny piasek ciemią,
Jedyna moja spoczywa pod ziemią...
Wonna, rodzinna ziemia dziś jej łożem.

Po śmierci żony Lenartowicz rozesłał do pism polskich następujący list otwarty:

Signa 11. lipca 1870 r.

Villa de la Selva.

Upraszam redakcje wszystkich pism polskich o wydrukowanie tych kilku słów, które posyłam, a czego mam nadzieję, iż mi nie odmówią.

Najniższy sługa

Teofil Lenartowicz.

Najnieszczęśliwszy małżonek po stracie towarzyszki życia, wszystkiemi cnotami od Boga ozdobionej, tkliwej, rozumnej, utalentowanej, pracowitej, poświęcającej się, litościwej, pobożnej, ojczyznę głęboko miłującej, do męża przywiązanej, naukowo wysoko wyszktałconej, pełnej godności w czynach i słowach, zwraca się do przyjaciół, zawiadamiając o jej zgonie.

Zofja z Szymanowskich Lenartowiczowa uprzedziła męża swego do lepszego świata, unosząc ze sobą całe jego ziemskie szczęście i pozostawiając go boleści.

Z przejrzenia boskiego stało się to, co się stało i sam Bóg tylko mógłby ulżyć najnieszczęśliwszemu, gdyby w Jego przedwiecznych wyrokach zapisanem było, aby przeżył i ten cios najstraszniejszy, tę stratę najboleśniejszą, tę ranę najgłębszą. — Żaden małżonek większą cześcią i miłością nie otaczał towarzyszki życia i żaden boleśniejszego odemnie nie odebrał ciosu.

Przyjaciele, którzy wspólnie ze mną czujecie moje nieszczęście, kapłani, znajomi, i dziatki przed Bogiem niewinne, wznieście modły do Stwórcy za duszę tej najszlachetniejszej Polki, tego wzoru cnót niewieścich, zapłaczcie z nieszczęśliwym, podzielcie boleść, której żadne ludzkie nie wypowie słowo.

Zgasła w Miłosławiu dnia 8. lipca 1870.

Gwiazda wróciła do gwiazd, nędzę ziemi, ziemi pozostawiając.

Niech będzie Bóg pochwalony we wszystkiem, w radościach naszych i w zabijających boleściach.

Teofil Lenartowicz.

* * *

W ustępie omawianego wiersza, dotyczącym jego samego, Lenartowicz z goryczą pisze:

Ani w Italji, ani tam w ojczyźnie
Nikt nie zatroszczy się o biedne kości;
. . . .
Grób mnie więc czeka, jak ziemia obszerny,
Nie ozdobiony wymownem wspomnieniem...

Przeczucia poety nie sprawdziły się.

Wdzięczny naród, nie bacząc na krzyki puszczyków, sprowadził zwłoki lirnika do jego ziemi rodzinnej, chociaż poeta prosił:

Nie róbcie ze mnie wieszcza, przyjaciele,
Nie róbcie ze mnie wielkiego człowieka
. . . .
Na to, co wielkie, podła psiarnia szczeka,
. . . .
Z prostym ja ludem niech się tak zjednoczę,
Jak z czystem niebem czystych wód przeźrocze.

I lud polski oddał hołd swemu piewcy.

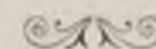
p.



Pastel i miniatura.

Przez

Anielę Korngutównę.



W pracowni mojego przyjaciela zobaczyłem świeży pastel młodej kobiety. Nie wiem, co przykuło oczy moje do tej twarzy niepięknej, ale to pamiętam, że zdziwiony i jakby olśniony mądrym wyrazem jej rysów, przystanąłem, aby o nią zapytać przyjaciela.

Mój przyjaciel szalone ma do kobiet szczęście, choć do tego przyznawać się nie lubi; każda zaś praca jego pędzla lub ołówka, zawieszona w rogu pracowni, stanowi interesujący rozdział z powieści życia.

Gdy spytałem o oryginał portretu, uśmiechnął się tylko sobie właściwym uśmiechem marząco-sarkastycznym, to znaczy, że oczy jego patrzały przed siebie wzrokiem marzącego idealisty, a usta składały się do uśmiechu satyra. Podał mi cygaro, i sobie drugie zapaliwszy, przemówił:

— Siądź, mój sceptyku, i posłuchaj. Pastel, o który pytałeś, to podobizna literatki ***. Poznałem ją przed dwoma laty. Zastałem ją pewnego przedpołudnia w mojej pracowni i zauważyłem, że kryje pod hiszpańską peleryną — nie myśl, że sztylet włoski lub nóż hiszpański — ale grubej objętości manuskrypt. Gdybym był redaktorem jakiego literackiego dziennika, objętość manuskryptu bardziej przestraszyćby mnie mogła, niźli nawet nóż hiszpański. Nie będąc jednak w tem nieszczęśliwem położeniu, spytałem grzecznie i z wesołą miną, czego żąda. »Panie — zaczęła bardzo wzruszonym głosem — wszystko,

co o panu słyszałam, wzbudziło mój szacunek dla jego osoby i admirację dla talentu. Wiem, że nie odmówisz pan mojej prośbie, chociaż jest bardzo zuchwałą«. Rozłożyła przedemną manuskrypt i powiedziała wyraźniej, czego żąda. Manuskrypt zawierał pierwszą jej powieść, a ponieważ wątpiła, czy ją kto wydrukuje, wpadła na pomysł, bym dorobił do niej ilustracje, a wtedy, jak mówiła, najpewniej spodziewać się mogła, że znajdzie nakładcę.

Przyznam ci się, że zdziwiło mnie jej obcesowe żądanie mojej pracy, za którą zapłacić nie mogła. Nie zdobyłby się na to żaden literat; widocznie kobiety odważniejszej są natury. Wziąłem jednak manuskrypt i jak gdybym był redaktorem »od fejletonu«, przyrzekłem powieść przeczytać i poprosiłem o jej adres. Moja literatka powiedziała mi jeszcze kilka grzeczności i wyszła.

Przez jakąś złośliwą ciekawość zabrałem się następnych dni do przejrzenia otrzymanej powieści i przekonałem się, że nie kwalifikowała się do druku, jak mówią dziennikarze. Techniczne błędy były zbyt rażącemi, styl chropowaty, językowych błędów takie mnóstwo, że praca potrzebowałaby nadzwyczaj starannej korekty. Mimo tych wszystkich błędów, powieści nie brakowało talentu, i o ile znam się na tem, mogła autorka napisać w przyszłości coś dobrego. Ta jednak próba nie powiodła się. Napisałem jej to wszystko, przepraszając i zapewniając, że tylko szczera życzliwość kieruje moim sądem.

W kilka dni otrzymałem bardzo piękny list; każde jego słowo równoważyło się liściowi lauru. Lecz wieniec tych cennych słów przewiązany był zapewnieniem, że »krytyczne moje wskazówki tak ją oświeciły, że z podwojonym zapałem weźmie się do dalszej pracy, aby usprawiedliwić zaufanie, położone w jej talencie. Nie upłynął miesiąc, a moja literatka nadesłała mi nowelę.

Cóż miałem robić, przypomniałem sobie słowa Szyllera: *Das ist die Frucht der bösen That, dass sie fortzeugend nur Böses kann gebären.* Nie pocieszyła mnie ta sentencja; wpłynęła ona tylko na to, że przeczytałem cierpliwie nowelę do końca, wydając o niej sąd, podobny do tego, jaki wydałem o jej powieści, z tem jednakże nadmienieniem, że postęp w tej pracy widoczny.

Równie, jak po odesłaniu powieści, otrzymałem list z podziękowaniem za trud podjęty, i powtórne zapewnienie, że »doznane rozczarowanie nie ostudziło jej zapału do pisania«.

Nie spodziewałem się takiej wytrwałości i bądźcobądź zasługiwała ona na uznanie. Odtąd w pewnych odstępach czasu otrzymywałem od mojej literatki nowele, bluetki, szkice, do których były dołączone owe wawrzynowe liście, jak nazywam bilety i listy moich wielbicielek. Spełniałem też sumiennie rolę krytyka i recenzenta, jak gdybym był opłacany za to od »zarządu międzynarodowego stowarzyszenia literatów, czuwających nad wspólnymi interesami, a w szczególności nad młodymi talentami«. Nareszcie doczekałem się nagrody...

— Nakoniec historja staje się zajmującą — przerwałem — zbliża się romans.

— Mylisz się; żadnego między nami nie było romansu i dziś...

— Dziś?... — przerwałem zaintrygowany.

— Dziś jest ona bardzo szczęśliwą mężatką. Przed miesiącem przysłała mi swoją fotografję z prośbą, abym z niej zdjął pastel dla męża na imieniny. Do fotografji był dołączony list, treści mniej więcej takiej, że obecne szczęście zawdzięcza tylko mojej osobie, bo gdybym nie był stłumił jej zapału do pisania bluetek, ona, poświęcając się niewdzięcznej literaturze, byłaby zapomniała o tem, że prawdziwem i jedynem szczęściem dla kobiety jest domowe ognisko i... kolebka. Otóż konsekwencja kobiety.

Wypowiadając ostatnie zdanie, mój przyjaciel miał znowu na ustach ów uśmiech satyra, a w oczach zamyślenie marzącego idealisty.

— Gdy cię ta historja nie przekonała o konsekwencji kobiet — przemówił po dłuższej chwili milczenia — to patrzaj.

Z uśmiechem podał mi miniaturę ślicznej główki dziewczęcej z twarzyczką anioła i oczyma gazeli. Wypowiedziałem mój sąd o tej piękności i spytałem o żywy oryginał.

— Jest to aktorka — odparł. — Poznałem ją na ulicy. Było to nad wieczorem dżdżystego dnia jesiennego. Stała oparta o mur domu, z którego wychodziłem, i wtedy, jak ty teraz, zauważyłem, że ma oczy strwożonej gazeli. Zabrałem ją do mojej pracowni, by się ogrzała, podałem jej podwieczórek: była bowiem zziębnięta i zgłodniała, jak pisklę, które wyrzucono z gniazda. Widziałeś jaskółkę, gdy, zawcześnie przybywszy do naszego kraju, opuszcza skrzydełka i mruży ślepki, jak gdyby chciała zasnąć? Otóż gdy moja mała ogrzała się nieco i posiliła, przytuliła swą główkę do tej tu kanapy i usnęła. Mają mnie powszechnie za przyjaciela kobiet; wielu dworuje sobie z tego, że mam szczęście do płci niewieściej, a jednak, wierzaj mi, że to dziewczę, spoczywające u mnie na kanapie z całem zaufaniem niedoświadczonej młodości było mi zbyt świętem, abym skaził je nawet grzeszną myślą. Przymknąłem drzwi pracowni i udałem się do drugiego pokoju, by zaczekać, aż się przebudzi. Nastąpiło to w godzinę niespełna, a wtedy opowiedziała mi, że matka była aktorką i umarła przed rokiem, i że ojciec jeszcze żyje, ale straciwszy posadę w urzędzie, oddał się pijaństwu i tyranizuje ją wraz z jej młodszym bratem, który terminuje u stolarza. Z dziecięcą prawie szczerością wyznała mi, że ojciec może ma słuszność, bijąc ją, ponieważ nie chce zostać krawcową, i zamiast uczyć się szycia, deklamuje całemi godzinami wyuczone na pamięć wiersze i sceniczne role. Poprosiłem o próbkę jej deklamacji i prze-

konałem się, że byłaby »doskonałym materjałem na naiwną«. Widocznie odziedziczyła po matce talent aktorski i popęd do swobodnego życia, a wstręt do prozaicznej codziennej pracy. Ponieważ wrócić do ojca nie chciała, odprowadziłem moją małą do znajomej mi pani, która dawniej sama była aktorką, lecz porzuciła scenę, wychodząc za mąż. Opowiedziałem historję tej małej i uprosiłem ją, by się tymczasem zajęła młodą adeptką sztuki, zanim znajdzie umieszczenie w teatrze. Moja »protegowana«, jak ją znajomi nazywali, pobierała na razie lekcje deklamacji u owej byłej artystki, a ja czyniłem kroki, by wyrobić jej debiut w naszym teatrze. Otrzymała go wkrótce i wystąpiła tak szczęśliwie, że wspólnym naszym zabiegom — dobrałem sobie bowiem poważanego autora dramatycznego, aby wpłynąć na dyrekcję teatru — udało się wreszcie wyrobić dla debiutantki stały »angażament« w teatrze z miesięczną pensją 30 złr.

Doszło już podczas tego uszu moich, że między artystami i nie-artystami moje zajęcie się losem tej małej poczytywanem było za interesowaną usłużność, za którą hojną odbierać miałem nagrodę. Dziewczyna była uboga, lecz ładna i młoda; możesz się domyśleć, co mówiono. Dodała mi ona jeszcze jeden listek do wawrzynowego wieńca mojej chwały w zdobywaniu serc kobiecych, chociaż, Bóg mi świadkiem, nie starałem się, ani się o to ubiegałem. Widziałem, że to dziewczę jest skromne, niepopsute i zamiłowane w swej sztuce. Pracowała z zapałem i tembardziej mnie zmartwiło, gdym widział, że reżyser ją zaniedbuje i nie daje jej sposobności, aby korzystnie przedstawić się mogła krytykom i publiczności, a co zatem idzie, aby uzyskała większą pensję, bo i to wiedziałem, że często bardzo nie jada obiadu, bo nie ma za co go kupić. Podziwiałem jej wytrwałość i czystość obyczajów. Przechodziła przez brud zakulisowy, jak anioł przez piekło, skrzydeł nie zwalawszy.

Na nieszczęście ojciec jej dowiedział się wreszcie o miejscu jej pobytu i zapragnął z pracy córki ciągnąć korzyści dla siebie. Czego od niej wymagał, zamilczę, bo to straszne i nie uwierzyłbyś... ale ja wierzyłem, bo... miałem na to dowody.

Wiedząc o tem wszystkiem, pomyślałem sobie, że jeśli to dziewczę mimo tylu pokus pozostanie bez grzechu, spełni szczytne bohaterstwo i oczyści swem cierpieniem grzechy towarzyszek. Wierzyłem, że nie upadnie i miło mi było śledzić tę walkę anioła z duchami piekła...

— Lecz anioł zapewne upadł — zawołałem, zgorszony niepoprawnym idealizmem mego przyjaciela.

— Zgadłeś. Jakiś hrabia zajął się jej losem, wyrobił jej lepsze warunki bytu, bo obecnie posiada ona swój własny apartament, jakiś nawet pokój, chiński czy japoński, każdego rana przymierza inne szlafroczki, a na ulicy spotkasz ją tylko, gdy wyjeżdża w powozie. Przed dwoma tygodniami zajechała do mnie i zamówiła swój portret, do którego mi pozowała. Gdy pokazałem jej tę oto miniaturę, jako pamiątkę, którą zachować myślę dla siebie, uśmiechnęła się wtedy rozkosznie, nachyliła nademną i pocałowała. Lecz zanim mogłem się opamiętać, szepnęła: »Oto nagroda, której sam sobie nie wziąłeś, skromny mój panie« — i wyszła.

— O, mój skromny wróbelku! — zawołałem, gdy skończył opowiadanie. — Śliczna wisienka wisiała na drzewie, nie tknąłeś jej, szlachetnem zdjęty współczuciem; lecz wisienka, dojrzawszy, upadła na ziemię i...

— Cóż chcesz, — odparł mój przyjaciel z uśmiechem satyra — nie mogę pozbyć się wiary, że kobiety są aniołami, chociaż doświadczenie już niejednokrotnie mnie pouczyło, że spieszno im zawsze pozbyć się tych białych skrzydeł, które je unoszą ponad brudem ziemskim...

— Rzecz słuszna – przerwałem mu — być zawieszonym między niebem a ziemią, to poza może bardzo malownicza do obrazu, ale nużąca w rzeczywistości. Kobieta, stworzenie słabe, nie jest zdolną wytrzymać takiej próby.

Nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy mego przyjaciela w chwili, gdy wypowiedziałem te słowa. Najpierw wypatrzył się na mnie z jakimś szczególnym przestrachem, później coś podobnego do szyderskiego uśmiechu zarysowało się w kątach charakterystycznych jego ust. Powstał z miejsca i stanął przedemną.

— Nie bluźń! — rzekł, opierając dłoń na mojem ramieniu. — Jeśli kiedy wyrwę z duszy słowo gorzkiego żalu, to dla tego, że brak konsekwencji u jednej drogiej mi dawniej kobiety, prze moją wyobraźnię do wyśledzenia tej wady u innych kobiet. Czynię to może w nadziei usprawiedliwienia tamtej, a może.. ileż tych może... mieści dusza ludzka! Patrzę... i lituję się nad niemi, a pogardzam tym całym ustrojem społecznym, który to sprawił, że istnieją naprzykład takie pseudo-literatki i takie... upadłe anioły. Biedne kobiety... biedniejsza ziemia — dodał z westchnieniem i umilkł.

Umilkłem i ja. Wesołość gdzieś prysła, niby bańka mydlana, uleciała, jak wonne kadzidło, znikła, jak obłoczek, pognana smutnem pytaniem: dla czego to tak? dla czego?



Uleczalność dyfterytu.

Walka, wypowiedziana przez naukę chorobom zakaźnym, wstępuje obecnie w okres, w którym umysł ludzki święcić ma najpiękniejsze tryumfy. Kiedy przed kilku dziesiątkami lat doj-

rzano w mikrobach bodźce chorobotwórcze i podjęto gorączkowe nad niemi badania; sądzono, że dość będzie poznać warunki nieprzyjazne dla życia tych najdrobniejszych istotek, ażeby módź następnie niszczyć je w organizmie, który stał się ich łupem. Lecz nadzieje te zawiodły. Wszystkie środki, zabijające bakterje, niemniej szkodliwie działają na tkanki i organy wyższego zwierzęcia.

Początkowe fazy w dziejach bakterjologji, poświęcone były niemal wyłącznie badaniu drobnoustrojów na zewnątrz organizmu. Odkryto nieznane przedtem twory żyjące, przeczuwano bliski ich stosunek do organizmów wyższych, poznano nowy szereg zjawisk bjologicznych, i oczywiście przedewszystkiem zwrócono się do należytego wyświetlenia natury tych nowych istot. Z czasem dopiero, gdy badania czysto naukowe dostarczały dość obfitego materjału do orjentowania się w dziedzinie bakterjologji, wystąpiło na plan pierwszy zadanie praktyczne, zadanie ochrony zdrowia ludzkiego i zwierzęcego od tych niewidzialnych wrogów. A gdy przekonano się, że do zamierzonego celu nie wiodą te prost , brutalne, że tak powiem, środki, któremi zabijamy bakterje w kolbkach i epruwetkach — jak np. wysoka temperatura lub trucizny chemiczne — poczęto z jednej strony głębiej wnikać w proces życiowy bakterji, z drugiej zaś przyglądać się uważnie zmianom, jakie wywołują one w napastowanym wyższym organizmie. Doświadczenia na zwierzętach dokonywane już bardzo wcześnie, kazały się spodziewać pomyślnych rezultatów. Znakomicie poparte zostały te analogje, jakie kierują ustawicznie bjologiem, gdy zjawiska, zaczerpnięte w jednym szeregu zwierzęcym, z odpowiedniemi zastrzeżeniami przenosi na szereg inny. Jednocześnie zaś współczesne metody naukowego badania pozyskały raz jeszcze niezbite dowody płodności i pewności.

* * *

W tych chorobach zakaźnych, w których ochronne lub lecznicze szczepienia dotychczas dawały rezultaty niezawodne, szczepiony materjał jest zawsze w ten lub ów sposób otrzymanym produktem działania bakterji odnośnej choroby. Nie potrafiono wszakże zdawać sobie należycie sprawy z leczniczej własności tego rodzaju szczepionek, póki nie wykryto niezmiernie ważnego faktu, mianowicie, że zjawiska chorobowe naj częściej nie są wynikiem samego tylko rozmnażania się bakterji w naszem ciele, lecz głównie pochodzą ztąd, że bakterje owe wytwarzają sub stancje chemiczne, które działają trująco. Z zapałem zwrócono się do wykrycia tych trujących materji, t. zw. toksyn, do poznania ich własności chemicznych, gdyż z kolei należało wystąpić z niemi do walki, należało uczynić je dla organizmu naszego nieszkodliwemi. Prace w tym kierunku trwają od lat niewielu dopiero, to wszakże, co dotychczas zdobyto na tem polu, upoważnia do najśmielszych nadziei na przyszłość. Zbliżono się do uchwycenia natury tych niebezpiecznych dla nas toksyn, dla niektórych chorób wydobyto je już nawet i dowiedziono z całą dokładnością, że, zastrzyknięte zwierzęciu, wywołują zupełnie te same objawy chorobliwe, co i odpowiednie bakterje, zbadano siłę ich działania w niektórych wypadkach — jednem słowem, istnieje możność obchodzenia się z toksynami. podobnie, jak obchodzimy się z dobrze znanemi truciznami. Stosując rozmaite dawki tych toksyn, otrzymujemy zakażenie rozmaitego stopnia, mniej lub więcej niebezpieczne, a śledząc współczesne zmiany w ustroju badanego zwierzęcia, odkrywamy, zależnie od stopnia zatrucia, różne zaburzenia, mniej lub więcej głębokie. Postępując wreszcie metodycznie i zadając zwierzęciu coraz silniejsze dawki owych toksyn, w wielu razach dochodzimy do naprzód nieoczekiwanego rezultatu, do czynienia go odpornym na daną chorobę. To sztuczne sprowadzenie w ustroju zwierzęcym takich zmian, które pozwalają następnie znosić ilości toksyn, które w zwykłych warunkach działałyby zabójczo, ta t. zw. sztuczna immunizacja zwierząt, jest zjawiskiem, wysoce zajmującem, które stało się w naszych czasach przedmiotem najusilniejszego badania bakterjologów i lekarzy.

* * *

Pasteur i Koch, którzy założyli podwaliny dzisiejszych naszych poglądów na naturę chorób zakaźnych, stworzyli zarazem szkoły, których adepci, przeniknięci ideami mistrzów, nie szczędzą trudów w obronie życia ludzkiego od napaści mikrobów. Liczne szeregi uczniów tych dwu głównych szkół bakterjologicznych rozrzucone są obecnie po wszystkich ogniskach świata naukowego. Najgorliwiej jednak wre praca u boku samych przewodników: w paryskim instutucie Pasteura i w berlińskim państwowym instytucie zdrowia pod okiem Kocha. I jednocześnie z obu tych instytutów ogłoszono światu, iż udało się znaleźć środek skuteczny przeciw jednej z najstraszniejszych chorób zakaźnych, przeciw dyfterytowi (błonicy). Twórcą nowej metody leczenia dyfterytu w instytucie Pasteura jest Roux, w berlińskim instytucie Behring, oba znani oddawna jako sumienni badacze, którym bakterjologja niejedno już doniosłe zawdzięcza odkrycie. Prócz tych dwu wszakże wiele jeszcze trzebaby przytoczyć innych nazwisk, gdyby zadaniem naszem było wszechstronnie oświetlić fakt i genezę tej nowej zdobyczy terapeutycznej. Większość ich pomijamy na tem miejscu, poprzestając tylko na dodaniu nazwisk dwu profesorów monachijskich: Buchnera i Emmericha, oraz jednego z najpilniejszych i najzdolniejszych uczniów Kocha, obecnego profesora w Tokio, Japończyka Kitasato.

* * *

W rozległych badaniach nad królikami i świnkami morskiemi Behring i Kitasato dowiedli, że, jeżeli zapomocą szeregu szczepionek sprowadzimy w zwierzęciu odporność na pewną chorobę zakaźną, to surowica krwi (czyli krew, uwolniona od czerwonych kulek i włóknika, powodującego jej krzepnięcie) takiego zwierzęcia nabywa własności ochraniania innych zwierząt od bakterji tejże choroby. Dość jest wprowadzić do krwi zdrowego królika lub świnki morskiej małą ilość jadu dyfterycznego, ażeby zwierzę o śmierć przyprawić. Jeżeli jednak do toksyn dyfterycznych dodać kilka kropel surowicy krwi królika, który przez szereg szczepionek uzyskał odporność na dyfteryt, wówczas toksyny owe nie zabijają już tak, jak to czyniły przedtem. W podobny sposób działa także surowica krwi immunizowanego zwierzęcia, gdy ją innemu zwierzęciu zastrzykujemy podskórnie, a — co jeszcze ważniejsze — posiada ona i własności terapeutyczne, lecznicze: zwierzę już zakażone dyfterytem powraca do zdrowia, jeżeli dość wcześnie zastrzyknięto mu nieco surowicy przeciw-dyfterycznej.

Doświadczenia tego rodzaju wykonywano z toksynami nietylko dyfterycznemi, lecz i z jadami bakteryjnemi innych chorób, głównie tężca, i otrzymywano mniej lub więcej zadawalające rezultaty. Z badań zaś tych wyłoniła się nowa metoda lecznicza, t. zw. *seroterapja (serum = surowica)*, której w medycynie sądzonem jest pierwszorzędne zająć miejsce. Dotychczas daje ona pewne wyniki, co prawda, tylko w błonicy i tężcu, lecz — według słów Behringa — kwestją jest tylko czasu pomyślne jej zastosowanie i w innych zakaźnych chorobach, jak w cholerze, tyfusie, zapaleniu płuc, a może i w gruźlicy.

Tysiące przeszkód i trudności technicznych trzeba było pokonać, zanim odważono się skuteczność leczenia surowicą krwi sprawdzić na chorych dyfterycznych dzieciach. Nadewszystko wszakże trzeba było uwzględnić swoistą naturę błonicy u człowieka, która objawia się nietylko ogólnem znacznem osłabieniem i zakażeniem całego ustroju, lecz i występowaniem błonek w krtani i tchawicy, uniemożliwiających swobodne oddychanie chorego. Częstą przyczyną śmierci przy dyfterycie bywa wprost zaduszenie wskutek zatkania się dróg oddechowych temi błonkami. Udało się wszakże u badanych przez Roux'a zwierząt, wywoływać zupełnie te same objawy dyfteryczne i okazało się, że i w tych wypadkach odpowiednio przyrządzona surowica krwi ze zwierzęcia immunizowanego sprowadziła zupełne wyzdrowienie. Dopiero po takich wynikach — gdy nadto przez szereg mozolnych prób potrafiono z końskiej krwi otrzymać surowicę o dostatecznej sile leczniczej i nauczono się ją stosować w odpowiednich dawkach — zarówno w Paryżu i w Berlinie zdecydowano się przystąpić do prób klinicznych z choremi dziećmi.

Dok. n.

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. Sierpień i Wrzesień. 1894.

Oprócz dalszego ciągu »Przyszłej wojny« Blocha i Sienkiewicza »Rodziny Połanieckich«, przyniósł nam sierpniowy zeszyt »Biblioteki« artykuł p. J. Kotarbińskiego p. t. »Przyszłość sztuki i poezji«, wygłoszony, jako odczyt, w Krakowie. Zdamy zeń sprawę szczegółowiej w osobnym artykule.

P. Rembowski dał przegląd krytyczny dwu nowych opracowań źródłowych do historji Polski, a mianowicie: pracy Żółkowskiego o finansach Księstwa Warszawskiego (część II; część I. wyszła w r. 1890), do której materjały czerpał autor głównie z archiwum drezdeńskiego. Wprawdzie autor, jak to podnosi p. Rembowski, nie skorzystał z materjałów, znajdujących się w archiwach warszawskich, a i z literaturą polityczną owej doby nie zdołał się w całej rozciągłości zapoznać, pomimo to rozprawa p. Żółtowskiego, zdaniem krytyka, rzuca wiele światła na życie państwowe Księstwa i jest pracą sumienną i niezaprzeczonej wartości naukowej. Oprócz pracy Żółtowskiego rozbiera p. Rembowski nowy tom (dziesiąty) pomnikowego wydawnictwa p. t. »Polska XVI. w. pod względem geograficznym i statystycznym«, pióra p. Jabłonowskiego, mający za przedmiot Ukrainę.

W artykule p. t. »Materjały i notatki« p. Askenazy daje ośm listów Izabeli Branickiej (z domu Poniatowskiej), żony Jana Klemensa Branickiego, hetmana W. Kor. Branicki, jeden z wybitnych członków stronnictwa republikańskiego, które w maju r. 1764 zerwało sejm konwokacyjny, przez żonę prowadził pertraktacje w sprawie pogodzenia się z królem.

P. Konopnicka dała dalszy ciąg swego cyklu »Italia«. Kroniki: paryska i miesięczna, przegląd teatralny wytrawnego pióra p. Bogusławskiego oraz notatki bibliograficzne dopełniają całości zeszytu.

W zeszycie wrześniowym zwrócimy uwagę na artykuł dra Biegeleisena p. t. »Nieznane prace Z. Krasińskiego z lat młodzieńczych«, zapowiadający, zdaje się, wydanie dzieł poety pod redakcją dra B., na wzór znakomicie przez tegoż wydanych dzieł Mickiewicza i Słowackiego.

P. Okolski pisze »O pauperyzmie w Anglji« na podstawie dzieła Hobsona o tymże przedmiocie, będącego częścią zbiorowego wydawnictwa p. t. »Social Question of to Day«, którego zadaniem jest wyjaśnienie w monografiach rozmaitych kwestji bieżących, od których rozwiązania zależy przyszły pomyślny rozwój społeczeństwa. W omawianym artykule p. Okolski zastanawia się nad objawami i rozmiarem pauperyzmu, nad jego przyczynami, nad środkami, proponowanymi w celu usunięcia go, tudzież nad szkopułami, o które rozbić się mogą usiłowania, w tym celu czynione.

P. K. Górski w rozprawie p. t. »Tarnowski i bitwa pod Obertynem« na podstawie szczegółowego rozbioru bitwy pod Obertynem taki sąd wydaje o wielkim hetmanie: »Tarnowski nietylko napisał jedyny i najlepszy naówczas traktat o sztuce wojennej (p. t. »Consilium rationis bellicae«), ale umiał go w praktyce zastosować. Wykazał on niepospolitą pomysłowość w kombinacjach strategicznych, zręczność w używaniu broni, bystrość oka, zimną krew, przytomność umysłu, stałość w przedsięwzięciach, słowem, przymioty, które znamionują prawdziwe talenta wojenne«.

p.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.